

Lament

AUTOR: ŁUKASZ RUDZIŃSKI

Przedstawienie oscyluje na granicy prawdy o doli aktora i fikcji wypreparowanej ze scenariusza słynnego filmu. Aktorzy Bałtyckiego Teatru Dramatycznego na wiele sposobów starają się być wiarygodni jako niespełnieni artyści, których uwiera łątka prowincjonalizmu.

■ Zaczyna się na wesoło, ale niezbyt miło. Przynajmniej dla widzów z Koszalina. Każdy z występujących w spektaklu aktorów opowiada swoją historię. Mówi o tym, jakie miał aspiracje, marzenia, oczekiwania przed, w trakcie i tuż po szkole aktorskiej. Jak to uwierzył, że zawojuje świat, rozsyłając swoje CV do najlepszych polskich teatrów. Później do tych nieco mniej prestiżowych. W końcu do wszystkich pozostałych. I wreszcie dostał odpowiedź z Koszalina, który w pierwszej chwili pomylił z Wałbrzychem. Ktoś inny, pochodzący z Koszalina, wysłał CV wszędzie, tylko nie do tego miasta, bo marzył o tym, by wreszcie wyrwać się stamtąd na dobre. W końcu na którymś bankiecie w innym mieście okazało się, że rozmawia z dyrektorem teatru. Gdy został zaproszony na rozmowę, okazało się, że to dyrektor Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie... Opowieści nie kończą się na pokrętnych drogach do angażu w teatrze lub samym przedstawieniu. Ktoś wspomina o tym, jak przyjechał do Koszalina po raz pierwszy i usiłował dotrzeć na rynek. Chodził po mieście, szukał, ale nie mógł znaleźć. W końcu spytał przechodnia, jak trafić na rynek i dowiedział się, że na nim stoi. Ktoś jeszcze wspomina o pracy w zakładzie szewskim i o tym, że jak odszedł z firmy, to wyniki zakładu od razu się poprawiły.

Improwizowane aktorskie opowieści wypowiedane są przez otaczających półkołem scenę i widownię aktorów półprywatnie, bez troski, w tonie zwierzeń. Oczywiście celem reżysera Piotra Ratajczaka nie jest szydzenie z mieszkańców Koszalina i wyśmiewanie prowincjonalizmu miasta. To punkt wyjścia opowiadania o aspiracjach i teatrze jako takim. I o kondycji artysty, czyli człowieka peł-

nego rozterek, wątpliwości, wzlotów i upadków – słowem: takiego jak każdy inny, tyle tylko, że uprawiającego specyficzny zawód, dzięki któremu inni przychodzą go podziwiać i okłaskiwać.

Co człowiek, to inna historia. Wspólnym mianownikiem tych opowieści jest fakt, że Koszalin nie był ani pierwszym, ani drugim wyborem żadnego z aktorów. Ich obecność w nieistniejącym w powszechnej świadomości mieście, które nie może się podnieść po utracie statusu stolicy województwa, które mało kto zna i jest w stanie zlokalizować na mapie, to splot nieprzewidzianych wydarzeń, chichot historii, a czasem ostatnia deska ratunku, by pozostać w zawodzie. Co więcej – zazwyczaj w tych historiach Koszalin miał być przystankiem w karierze na jeden, góra dwa sezony. Pierwszym szczeblem do prawdziwej kariery, która zacznie się niebawem, najlepiej w Warszawie. Tylko jakoś tak wyszło, że wciąż tu są. Jedni zastrzegają, że w dalszym ciągu walczą o lepsze jutro, inni pogodzili się z losem, uznając Koszalin za swoje przeznaczenie.

Akcja spektaklu pokrywa się w wielu miejscach ze scenariuszem filmu *Aktorzy prowincjonalni* Agnieszki Holland, tyle że w nieco zmienionym kontekście i z inaczej rozłożonymi akcentami. Do miasta przyjeżdża znany, mainstreamowy reżyser prosto z Warszawy. W zespole podekscytowanie, bo wreszcie, po miesiącach marazmu, jest szansa na ważny spektakl, który zostanie dostrzeżony w kraju – w końcu *Wyzwolenie* Stanisława Wyspiańskiego to nie byle co. Każdy ma swoje oczekiwania co do roli w tym przedsięwzięciu. Szybko okazuje się, że nowoczesny, bezglutenowy i wegański reżyser (Bartosz Budny) to zagubiony dzieciak bez wizji i pomysłu,

po omacku usiłujący stworzyć coś z niczego. Rozterki aktorów próbujących zrozumieć motywacje swoich bohaterów zderzone zostają z pustką interpretacyjną – wszystkie sprawiające kłopot fragmenty zostają przezornie wykreślone z tekstu. Autorzy scenariusza spektaklu – Piotr Rowicki i Piotr Ratajczak – cytują wprost wiele kwestii z filmu, a reżyser rekonstruuje wręcz niektóre sceny bez większego inscenizacyjnego zaplecza. Do jednego z wielu zredukowano wątek kryzysu w związku świetnie zapowiadającego się aktora, grającego w *Wyzwoleniu* Konrada, niespełnionego Krzysztofa (Artur Paczesny) i równie niespełnionej w roli aktorki i jego żony Anki (Beata Niedziela), a przecież na relacji tej dwójki Holland zbudowała swój film.

Oczywiście, jak przed laty w *Wodzie* Reju. *Koszalin Kulturkampf*, inspirowanym filmem Feliksa Falka, który Ratajczak również zrealizował z koszalińskim zespołem, motyw filmowy użyto jako pretekst do opowiedzenia historii bardzo mocno osadzonej lokalnie. Na pierwszym planie jest kreacja zbiorowa – aktorzy jako ludzie tkwiący w nieustających niedosytach, pretensjach do roli, jaką przychodzi im grać na scenie i w życiu. Współtwórcy scenariusza koszalińskiego przedstawienia usiłują pokazać w telegraficznym skrócie i do tego w krzywym zwierciadle przygotowania do premiery, w które wpleciono liczne wątki obyczajowe. Półtorej godziny to jednak zdecydowanie za mało, by mogło się to skończyć powodzeniem.

Jest dyrektor teatru, który jako czynny aktor gra w spektaklu (ciekawa rola Wojciecha Rogowskiego), a wśród młodych aktorek ma kochankę. Jest członek obsługi technicznej, marzący o tym, by wreszcie stanąć na scenie.

BAŁTYCKI TEATR
DRAMATYCZNY
W KOSZALINIE

*Aktorzy koszalińscy,
czyli komedia
prowincjonalna*
przedstawienie
inspirowane filmem
Agnieszki Holland
Aktorzy prowincjonalni
(1978)

scenariusz
Piotr Rowicki,
Piotr Ratajczak
reżyseria, opracowanie
muzyczne
Piotr Ratajczak
scenografia, kostiumy
Grupa Mixer
aranżacja piosenki,
przygotowanie wokalne
Rafał Kowalewski
plastyka ruchu
Arkadiusz Buszko

premiera
16 czerwca 2018

Scena zbiorowa



fot. Izabela Rogowska

Jest aktorka na okresie próbnym, więc jej rola sprowadza się do tego, by przytakiwać i nie wychylać się, jeśli nie zamierza wrócić na bezrobocie. Nie może w tym zestawie zabraknąć wiecznie niezadowolonej, demonstracyjnie rzucającej rolę aktorki-gwiazdy (Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska), przekonanej o konieczności wyeksponowania jej postaci, bo „ludzie dla mnie przychodzą do teatru!”. Wszystkie te profile osobowościowe sprowadzono do pojedynczych scenek i paru aktorskich monologów, prezentowanych gdzieś na marginesie zaskarbiającej uwagę widzów „kuchni” teatru.

Aktorzy *Wyzwolenia* przechodzą przez pełen wachlarz stanów i emocji towarzyszących pracy. Od początkowego entuzjazmu, poprzez rozczarowanie, gdy otrzymują kostiumy i przekonują się, że reżyser nie potrafi niczego wyjaśnić, przez bunt bezpardonowo i zarazem sprytnie stłumiony przez dyrektora teatru, perfidnie używającego wobec kolegów swojej pozycji. Stojący na czele buntu Krzysztof zostaje sam i po chwili, tak jak inni, zapomina o tym, że się buntował w słusznej sprawie. Wiele takich gorzkich, autematycznych środowiskowych upokorzeń pomieścili w scenariuszu Rowicki i Ratajczak, rozwijając motywy nakreślone w filmie. Sam spektakl układa się w litanię skarg, żalów i przemyśleń różnej maści, czasem wykrzyczanych widzom w twarz, czasem wyja-

wianych jak dobrze strzeżone tajemnice, czasem wyśpiewanych czy zatańczonych przez aktorów – jak wtedy, gdy marzący o aktorstwie montażysta Adam (Marcin Borchardt) wykonuje swoje przejmujące solo.

W efekcie przedstawienie oscyluje gdzieś na granicy prawdy o doli aktora i fikcji wypracowanej ze scenariusza filmu. Aktorzy Bałtyckiego Teatru Dramatycznego na wiele sposobów starają się być wiarygodni jako niespełnieni artyści, których uwiera łątka prowincjonalizmu, przypisana im z urzędu z racji miejsca pracy, życia, zamieszkania. Jednak trudno brać ich dylematy do końca na serio. Chociaż bazują na prawdzie i na niej budują swoje półprywatne zwierzenia, to tej wypracowanej na potrzeby przedstawienia szczerości brakuje wiarygodności i siły przekonania, chociaż nie można odmówić aktorom równego, zespołowego grania i zaangażowania w słuszną sprawę. Nagromadzenie wątków obyczajowych przywodzi na myśl dylematy bohaterów serialu *Artyści* Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego, tyle że bez czasu i możliwości, by te wątki odpowiednio rozwinąć.

W Koszalinie spektakl spotyka się jednak z żywiołowymi reakcjami i owacjami na stojąco (sam oglądałem go podczas gdyńskiego R@Portu i reakcje widzów nie były do końca miarodajne). Z pewnością to zasługa uniwersalnego przesłania przedstawienia. Tak serdeczna reakcja publiczności to efekt nie tyle

zmagania gromadki aktorów z dyletanctwem warszawskiego reżysera, a dużo szersze w odbiorze poczucie, że prowincjonalizm nie musi być piętnem wypisanym na czole czy gumą przyklejoną do podeszwy buta. *Aktorzy koszalińscy, czyli komedia prowincjonalna* są w istocie lekcją akceptacji swojej sytuacji, swoistą afirmacją prowincjonalizmu, który nie musi rujnować samopoczucia. Aktorzy wprost dotykają tego problemu, nazywając rzeczy po imieniu i podlewając wszystko goryczą i ironią, by z komedii przypadkiem nie uczynić tragedii, a co najwyżej komediodramat.

Nieformalnym hymnem całego przedsięwzięcia okazuje się skromna piosenka śpiewana przez Krzysztofa – *A gdyby tak* z repertuaru grupy Vox. Krzysztof śpiewa „A gdyby tak zrobić bez wahań jakiś śmiały krok, / A gdyby tak, a może by zwariować chociaż raz na rok / I gdyby tak, z pozy wyzuć się tak aż do cna, / Wreszcie odbić się od tego dna!” – podsumowując niejako wszystkie zmagania sceniczne i opisując to, czego pragną. W finale aktorzy wracają do półprywatnych wyznań wobec widzów, mówiąc im o swoich planach i marzeniach – tych bliższych i tych dalszych. I nawet jeśli mało kto z nich faktycznie spotka się na jednej scenie z Januszem Gajosem, to tego niedoskonałego, ale ważnego nie tylko dla Koszalina przedstawienia na pewno nie musi się wstydić. ■